

**KONFERENCJA NAUKOWA W 50. ROCZNICĘ
ROZPOCZĘCIA OBRAD SOBORU WATYKAŃSKIEGO II
PRZEMYŚL 8 LISTOPADA 2012 R.**

Ks. abp Józef Michalik (Przemyśl)

Premislia Christiana
(2012/2013) t. 15, s. 9-18

**NIEPRZEMIJAJĄCA WARTOŚĆ DZIEŁA
SOBORU WATYKAŃSKIEGO II
Homilia na rozpoczęcie konferencji**

Drodzy Bracia i Siostry!

Sam Zbawiciel wyjaśnia nam właściwie, dlaczego miał miejsce ten wielki Sobór, a w świetle perykopy z dzisiejszej Ewangelii (Łk 15, 1-10), dowiadujemy się ponadto, dlaczego ostatnio miało miejsce synodalne zwołanie biskupów poświęcone nowej ewangelizacji (XIII Zwyczajne Zgromadzenie Ogólne Synodu Biskupów, poświęcone nowej ewangelizacji, obradowało w Watykanie w dniach 7-28 października 2012 roku pod hasłem „Nowa ewangelizacja dla przekazu wiary chrześcijańskiej” – przyp. red.) Dlaczego zatem? Aby niestrudzenie szukać zaginionych. Ażeby jednak szukać, trzeba przede wszystkim wiedzieć, czego się szuka, a ponadto trzeba także wiedzieć, w jaki sposób to czynić, jakie środki zastosować, aby znaleźć to, co się zgubiło.

Niewiasta z ewangelijnej przypowieści Chrystusa zapala świecę, wymiata dom, porządkuje, szuka. Myślę, że także ów pasterz, który szuka zagubionej owcy, pozostawiając dla niej resztę dziewięćdziesięciu dziewięciu, ryzykuje, podąża za tą jedną, bo także ona, właśnie ona, ma dla niego ogromną wartość. Tę wartość przedstawia każda zagubiona owca szczególnie w oczach owego Pasterza, który do nas mówi w swojej Ewangelii – Jezusa Chrystusa. Pan Jezus... to właśnie w Jego oczach zaginiona owca ma niezwykłą wartość, godną poświęcenia dziewięćdziesięciu dziewięciu. I to właśnie ta historia staje się historią każdego z nas, tak często zagubionego na drogach swej życiowej pielgrzymki, ale zarazem historią troski Zbawiciela o każdego zagubionego człowieka, nie tylko tego, który się ochrzcił i odszedł od wiary, ale każdego, który w poszukiwaniu prawdy, w poszukiwaniu większego dobra, czyli zbawienia, którego przecież poza Chrystusem próżno szukać, gdzieś po drodze zbłądził, gubiąc sens i cel swego pielgrzymowania.

Myślę więc, że oba te wielkie wydarzenia, o których wspomniałem, stanowią dowód na to, że Kościół dobrze realizuje misję zleconą mu przez Zbawiciela. W tym kluczu trzeba nam także postrzegać postać i działalność błogosławionego papieża Jana XXIII, czujnie śledzącego bieg dziejów

i uwrażliwiającego swój pontyfikat na „znaki czasów”. „Papież dobroci”, zwołując Sobór Watykański II prawie w sto lat po poprzednim soborze, dobrze wiedział, że Kościół tamtych dni, że wiara ludzi wołają o podjęcie określonego wysiłku. Zdawał sobie sprawę, że w kontekście niezwykle szybko zmieniającego się oblicza świata i społeczeństwa, nowych wyzwań i zagrożeń, pojawiających się niejako z dnia na dzień, niełatwo będzie utrzymać „wczorajszy” porządek. Dostrzegał, podobnie jak wszyscy światli ludzie tamtych czasów, że na naszych oczach łamią się zasady, uznawane jeszcze niedawno za nienaruszalne.

Nie wolno przy tym zapomnieć o pewnym bardzo znamienym szczególe. Otóż papież Jan XXIII był wcześniej długoletnim nuncjuszem Stolicy Apostolskiej, reprezentantem Watykanu w Bułgarii, Turcji i Grecji – a zatem w krajach o mniejszości katolickiej. Następnie został mianowany nuncjuszem apostolskim w Paryżu we Francji, w ważnej stolicy bardzo ważnego dla Kościoła i świata kraju – Francja to przecież „najstarsza córka Kościoła”. A ten kraj stał się barometrem sytuacji Kościoła w ówczesnym świecie. Były to czasy, w których sami Francuzi podejmowali refleksję oraz mniej lub bardziej owocne i udane działania, aby jakoś sprostać jawnej lub skrywanej niechęci wobec Kościoła katolickiego, oraz przybierającemu na sile zjawisku odchodzenia z jego szeregów. Zjawisku masowej utraty kontaktu z Panem Bogiem pragnęło jak pamiętamy zaradzić (niestety nieskutecznie), założone właśnie we Francji stowarzyszenie księży robotników.

Słysząc dzisiaj głosy krytyków ostatniego Soboru, zwłaszcza niektórych odłamów o proweniencji konserwatywnej, które utrzymują, że Sobór Watykański II zepsuł to, co było dobre w Kościele. Nie mają jednak słuszności. Sobór szukał odpowiednich rozwiązań, gdyż były one w tamtym czasie i w tamtej sytuacji niezbędnie potrzebne. Jan XXIII mówił, że trzeba umieć odczytywać znaki czasu i te właśnie *signa temporis* włączył, jako specyficzne *locum theologicum* do owej nieomyślnej odwiecznej Tradycji Kościoła, która jest przecież głosem Bożym, będąc zarazem odzwierciedleniem określonych niepokojów danej epoki i potwierdzeniem odwiecznej linii posługi Kościoła w głoszeniu Ewangelii Chrystusowej ludziom wszystkich czasów.

Myślę też, że warto wspomnieć, iż Sobór Watykański II był przygotowywany już przez Piusa XII. Po latach okazało się bowiem, że Papież, co prawda w wielkiej tajemnicy, ale miał już powołaną grupę ekspertów, kardynałów, aby utorować drogę nowemu soborowi. Uważali oni zresztą, że trzeba aż kilkunastu lat, żeby przygotować tak doniosłe wydarzenie, jakim zawsze jest w Kościele sobór powszechny. Jan XXIII był człowiekiem bardzo na te wszystkie sprawy wrażliwym, ale i zarazem optymistą. Miał też silnie wyrobiony zmysł poczucia rzeczywistości, jak się to mówi „chłopski rozum”. Ogarniając pasterskim spojrzeniem Kościół i sytuację wiary swoich

czasów stwierdził: „jeśli naprawdę odczuwa się wielką potrzebę, to natychmiast trzeba reagować” i ogłosił – zaskakując postronnych obserwatorów, ale i wielu ludzi w samym Kościele – że zwoła sobór, ale wcześniej, jako swoisty eksperyment i pole doświadczalne, że przeprowadzi synod rzymski (jako biskup Rzymu Jan XXIII zwołał pierwszy synod tej diecezji – przyp. red.). W obradach Soboru Watykańskiego II brało udział ponad 3058 biskupów. Proszę sobie wyobrazić, posadzić razem 3 tysiące ludzi i zmusić ich do myślenia na jeden temat nie jest przecież tak łatwo. Ale ta metoda okazała się dobra i zafunkcjonowała.

Kolejną ciekawostką związaną z postacią Papieża, który zwołał Sobór, jest opowiadanie, jakoby Jan XXIII przed konklawe miał już plany odjazdu z Rzymu i bilet powrotny na najbliższy pociąg. Jest w tym nieco fantazji. W rzeczywistości, jak to powiedzieliśmy, Jan XXIII był realistą. Po prostu przyjechał do Watykanu samochodem i oddał go w czasie konklawe do przeglądu i naprawy, więc faktem jest, że liczył się z tym, że wróci tym samochodem do Wenecji, gdzie pełnił wówczas obowiązki pasterskie. Ale jak mówił mi kiedyś jeden z sekretarzy kardynałów (jeszcze wtedy sekretarze brali udział w konklawe), w momencie, gdy Jan XXIII został wybrany Następcą św. Piotra, a było to trzeciego dnia po zwołaniu konklawe, był w swetrze i w pewnym momencie wyciągnął z kieszeni tego swetra kartkę i przemówił do zebranych kardynałów. Wynika z tego, że przyjmując z pokorą wolę Bożą, jednak się liczył z tym, że może być wybrany i zabrał głos mówiąc to, co wcześniej sobie przygotował.

Co do jego udziału w Soborze wiemy, że poprowadził pierwszą jego sesję, a niebawem zdiagnozowano u niego raka żołądka. Bardzo szybko, bo już po kilku miesiącach od odkrycia choroby, zmarł. Ale już za życia wskazał niejako na swojego możliwego następcę. To bardzo ciekawe, że wielcy święci posiadają tę zdolność proroczego oglądu czasów i ludzi. Dwóch wielkich papieży tamtych czasów: błogosławiony Jan XXIII i Sługa Boży Paweł VI, także kandydat do chwały ołtarzy, pozostają związani ze sobą ideą Soboru a zarazem decyzją Jana XXIII. Otóż niedługo po swoim wyborze na Stolicę Piotrową Jan XXIII zwołał konsystorz, żeby, jak mówił, arcybiskupa Mediolanu Giovanni Battistę Montiniego, późniejszego papieża Pawła VI, uczynić kardynałem, bo według niego był on człowiekiem, który będzie potrafił poprowadzić rozpoczęty Sobór do szczęśliwego końca.

Jan XXIII umiał sobie gromadzić pomocników. On przez krótki okres pięciu lat swego pontyfikatu napisał osiem encyklik. Paweł VI przez 14 lat napisał tylko sześć encyklik. Inny był jednakże charakter ich pracy. O ile Paweł VI sam opracowywał swoje dzieła, to Jan XXIII, tak jak w przypadku ostatniej swej wielkiej encykliki (*Pacem in Terris* z 11 kwietnia 1963 – przyp. red.), jak i innych przypadkach, potrafił spontanicznie wciągać do pomocy ekspertów. Spontanicznie, a zarazem z wielkim szacun-

kiem, potrafił także odnosić się do ludzi, z którymi przyszło mu się spotykać. Choćby kontakt z Aleksiejem Adzubejem, dziennikarzem i literatem, zięciem Nikity Chruszczowa. Oto przedstawiciel imperium prześladowców Kościoła, nowoczesnego totalitaryzmu XX-wiecznego, naówczas bardzo mocnego, a papież jednak przez tego właśnie zięcia, przekazał dwa różańce, mówiąc: „To dla żony będzie jeden, a drugi dla teścia niech Pan da”. Nie wiem czy ten teść (czyli Chruszczow) modlił się na tym różańcu, ale fakt pozostaje faktem. Takie postępowanie i taka życzliwość w niesłychany sposób zjednywały ludzi.

Jego pełen pokory i humoru styl bycia a zarazem odnoszenia się do samego siebie, znalazły odzwierciedlenie w wypowiedzi dotyczącej jego słynnej encykliki *Pacem in Terris* o pokoju na świecie. W stylu bardzo otwarta i „nowoczesna” prowokowała pytania o jej wykładnię. Zapytany kiedyś, co w tej encyklice rozumie pod tymi a nie innymi słowami Jan XXIII mówił: „Co wy mnie pytacie? Idźcie do Pawana spytajcie jego, co on tam napisał” (Pietro Pavan, jako współpracownik Jana XXIII, brał udział w opracowaniu kilku kluczowych dokumentów jego pontyfikatu, w tym encykliki *Pacem in terris*, oraz dokumentów Soboru Watykańskiego II, zwłaszcza Deklaracji o wolności religijnej *Dignitatis humanae*. W latach 1969 - 1974 był rektorem Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego – przyp. red.). Jan XXIII był bardzo spontaniczny, zyskiwał tym ludzi i zyskiwał na tym Kościół. Po wyborze Jana Pawła II na Stolicę Piotrową niejednokrotnie na audiencji generalnych słychać było porównanie nie do Pawła VI, nie do Piusa XII – wielkiego i mądrego papieża, ale ludzie prości, mówiąc o Janie Pawle II powtarzali: „e piu popolare papa Giovanni” (jest [jeszcze] bardziej ludzki niż papież Jan). To było kryterium, coś, co wyróżniało w szczególny sposób ten pontyfikat, ogromna sympatia ludzka. Wiele można by tu jeszcze różnych opowiastek i dykteryjek przytoczyć o Janie XXIII, ale warto wiedzieć, że to był człowiek promieniujący swoim przepięknym człowieczeństwem i on ten Sobór chciał widzieć, jako sobór głęboko duszpasterski, nie zaś, jak to z wielu stron sugerowano, jako sobór doktrynalny. Nie chciał soboru, który w pierwszym rzędzie będzie wytyczał horyzonty intelektualne, potwierdzał doktrynę, ale będzie właśnie duszpasterski, bo papież chciał dotrzeć do ludzi, do ich serc, chciał dotknąć problemów ich codziennego życia.

Kolejnym zagadnieniem wartym wzmianki jest ekumenizm Soboru Watykańskiego II. Jan XXIII od zawsze zdawał sobie sprawę, że trzeba szukać jedności chrześcijan, że w dzisiejszych czasach trzeba nawiązywać więzi, trzeba się jednoczyć, trzeba rozmawiać i z prawosławnymi i z protestantami i z innymi, żeby potwierdzać wspólnie prawdę Ewangelii Chrystusa. Nie prowokować niepotrzebnych polaryzacji stanowisk, nie tracić sił na

podziały, na wzajemne zwalczanie się, lecz raczej dawać świadectwo wspólnym głoszeniem Ewangelii.

Po wyborze na Stolicę Piotrową, papież Paweł VI podjął zadanie dalszej kontynuacji Soboru i prac tych 10 komisji, które utworzono. Początkowo ich było siedem, potem doszło do dziesięciu. Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński był też członkiem głównej komisji soborowej od początku przez cały Sobór. Te właśnie komisje opracowywały poszczególne dokumenty, w nich przygotowywano projekty. Pierwszy dokument, który był w przygotowaniu jeszcze za czasów papieża Piusa XII, dotyczył liturgii. Liturgia jest rzeczą bardzo istotną dla Kościoła, bo właśnie w niej urzeczywistnia się w sposób oficjalny przesłanie wiary. Najistotniejsze przesłanie Ewangelii połączone jest z wiarą właśnie w liturgii, której bez wiary sprawować niepodobna. Przychodzimy do Kościoła, przychodzimy na wspólną modlitwę, aby dać świadectwo wspólnotowej wiary, ale jednocześnie, ażeby jako wspólnota, przyjąć przesłanie Ewangelii.

Zatem właśnie Konstytucja o liturgii (*Sacrosanctum concilium* – przyp. red.) przyjęta została za ledwie przy kilku głosach wstrzymujących się. Na tym dokumencie widnieją podpisy wszystkich Ojców soborowych, którzy byli za tym, aby ją przyjąć, choć później jeden z nich wprowadził duży rozłam w Kościele. Chodzi oczywiście o abpa Lefebvre'a, który stwierdził, że to jednak nie to, czego on się spodziewał. Nie chciał także zgodzić się z pewną reformą liturgii, która była na Soborze postanowiona i podjęta.

Tym niemniej tytułem wyjaśnienia dla młodszych, bo ja mam szczęście tego doświadczenia – mam na myśli także moje pokolenie (jest tutaj z nami kilku księży z mojego pokolenia), że odprawialiśmy Mszę św. jeszcze w języku łacińskim, i to cała Msza św. była po łacinie. Trzeba było najpierw lekcję i Ewangelię przeczytać po łacinie, a dopiero potem można było przeczytać je w języku polskim i kazanie było po polsku. Zatem język narodowy, który wrócił do liturgii jest rzeczywiście wielkim błogosławieństwem, bo kto w dzisiejszych czasach zna jeszcze biegle łacinę. Istnieją wprawdzie licea, gdzie klasyce poświęca się większą ilość czasu, ale właściwie to teraz na tym ostatnim synodzie (mowa o XIII Zwyczajnym Zgromadzeniu Ogólnym Synodu Biskupów – przyp. red.), poświęconym nowej ewangelizacji – mogę podzielić się z wami pewną niedyskrecją – okazało się, że łacina sprawia kłopoty nawet w Rzymie. Istnieje przepis, że na synodzie wszystkie główne projekty dokumentów są czytane po łacinie. Tak więc kardynał, który jest przewodniczącym obrad i ma trzech kardynałów pomocników, prowadząc obrady w obecności papieża, czy też bez niego, prowadzi dyskusję, wyznaczają głos, dziękują. Dwugodzinne czytanie tekstu łacińskiego przez Amerykanina okazało się doświadczeniem ogromnie męczącym. Ciekawa i wymowna zarazem sytuacja. Zabierający głos nie jest w stanie płynnie

wymówić zdania, tylko zbiera litery i artykułuje słowo po słowie. Gdy później zebrani chcieli sięgnąć po pomoc europejczyka, Francuza, też nie poszło to gładko. Każdy z mówców używa bowiem łaciny z akcentem swojej mowy ojczystej, więc zamiast *pater noster qui est in coelis*, w wersji znanej nam ze szkoły i lekcji łaciny słyszymy coś bardziej podobnego do języka francuskiego z typowym akcentem padającym na koniec wyrazu. Ten przykład ilustruje, jak to jest z językiem łacińskim we współczesnym świecie. Na szczęście dostępne są także tłumaczenia bezpośrednie. Można sobie wybrać dowolny z czterech języków zachodnich, w którym jesteśmy biegli. Ale już samo słuchanie przy jednoczesnym oglądaniu człowieka męczącego siebie i słuchaczy przez dwie godziny wzbudza litość.

Myślę zatem, że trzeba to jasno powiedzieć – nie jesteśmy przeciwnikami łaciny – to jest istotnie błogosławieństwo dla liturgii Kościoła. Pewne modlitwy powinniśmy po prostu znać i umieć, jako wyraz wspólnoty Kościoła katolickiego, chociażby Ojcze nasz, czy śpiewaną wersję *Kyrie eleison*, choć *Kyrie* to też nie jest łacina tylko język grecki. Wszyscy na całym świecie wiedzą, że *Kyrie eleison* – to akt pokutny, wołanie: „Zmiłuj się Panie nad nami”. Obecność języka łacińskiego i jego oddziaływanie w liturgii zapewniają także pewne pola czy punkty kontaktu ogólnokościelnego. Jeśli np. jesteśmy na Mszy świętej w Niemczech czy w Ameryce, to wiemy, orientujemy się w przebiegu wydarzenia liturgicznego, gdyż dysponujemy pewnymi punktami odniesienia o standardzie i zasięgu międzynarodowym.

Natomiast homilię w każdej Mszy świętej powinien głosić celebrans – to zalecenie płynące z ducha soborowego. Niektórych zaleceń nie wykonaliśmy jeszcze do dzisiaj, bo przyglądając się funkcjonowaniu niektórych parafii, dostrzegam, jak kapłani mówią homilię „z dojazdu”, z dochodzenia, wychodząc po Ewangelii z zakrystii. Tymczasem w przepisach liturgicznych czytamy wyraźnie, że na Mszy św. homilię powinien mówić celebrans, albo koncelebrans. Niestety jednak niekiedy jeden kapłan mówi siedem kazań, bo ma taki właśnie dyżur w katedrze, czy gdzieś w innym kościele. Seria siedmiu kazań na siedmiu Mszach św. w niedzielę powoduje wprawdzie zmęczenie, ale bywa to wygodne, gdyż kolej na następną homilię przyjdzie dopiero za siedem tygodni. Trzeba zwrócić uwagę na to zjawisko i wrócić do tego, co nam Sobór poleca.

Kolejny bardzo doniosły temat oprócz liturgii, który poruszył Sobór (nie sposób oczywiście w krótkiej homilii odnieść się do wszystkich), dotyczył ludzi świeckich i ich roli w Kościele i świecie. Jest to zagadnienie bardzo ważne. Po raz pierwszy sobór powszechny zwrócił uwagę na aktywną i odpowiedzialną obecność świeckich w Kościele. Powiedział odważnie, że świecki nie potrzebuje żadnego upoważnienia od biskupa, żeby głosić Ewangelię, ani także od proboszcza ani od nikogo innego. Posiada bowiem takie upoważnienie od samego Chrystusa i Kościoła przez sam fakt chrztu.

W chrzcie świętym, ten, kto został obmyty wodą w imię Trójcy Świętej już ma obowiązek być odpowiedzialnym za Ewangelię, za wiarę – to jest doniosłe stwierdzenie i przypomnienie, które powracało także na ostatnim synodzie biskupów.

Jak już wspomniałem, Sobór podkreślił też wielką rolę ekumenizmu i dlatego bardzo mnie cieszy, choć zarazem zdumiewa, niezwykle przychylnie przyjęcie faktu podpisania wspólnego dokumentu Kościoła katolickiego w Polsce z Kościołem prawosławnym w Rosji (Wspólne Przesłanie do Narodów Polski i Rosji Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski Arcybiskupa Józefa Michalika, Metropolity Przemyskiego i Zwierzchnika Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchy Moskiewskiego i Całej Rusi Cyryla, Warszawa, 2012-08-17 – przyp. red.). Jest to istotnie wydarzenie bezprecedensowe. Wspólny dokument o pojednaniu, o przebaczeniu wzajemnym. Ale warto zwrócić uwagę na równie ważną, jeśli nie nawet ważniejszą część tego dokumentu, będącą prawdziwą racją jego powstania, mówiącą o naszym wspólnym obowiązku głoszenia Ewangelii i solidarnym przeciwstawianiu się antyludzkim i antyewangelicznym tendencjom we współczesnym świecie i społeczeństwie. Trzeba wspólnie bronić prawa Boga, prawa naturalnego, bo dzisiaj widzimy jak ono jest zagrożone. Wchodzi tu w grę obrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci, sprzeciw wobec propagowania eutanazji i aborcji, wreszcie walka o prawo do obecności Pana Boga w życiu publicznym. To nie są żadne przywileje, to nie jest jakaś bezprzedmiotowa pretensja Kościoła, wyraz jego pragnienia mieszanego się do świeckiej polityki. Kościół nie chce uprawiać polityki bezpośrednio i to stanowisko podkreślane jest właśnie na Soborze i we wszystkich dokumentach. Biskupowi ani księdzu nie wolno aktywnie angażować się w życie partyjne, czy na przykład być ministrem. Konflikty, którym papież Jan Paweł II musiał stawić czoło w czasie swej podróży do Nikaragui, zostały zapoczątkowane z powodu kapłana, który został ministrem i papież zwracał mu uwagę: „Księżę tak nie wolno, ksiądz musi pozostawić ten rodzaj działalności społecznej i politycznej innym obywatelom. Jeśli pełni się urząd ministra, to automatycznie i nieuchronnie jest się związanym z określoną opcją polityczną. Zatem ksiądz zamiast jednoczyć, dzieli. Tak nie można definiować zaangażowania kapłana w życie społeczne”.

Tego typu wskazówki dotyczą także nas i naszych czasów. Nie wolno na ambonie oficjalnie opowiadać się za określoną opcją polityczną li tylko z powodów polityki właśnie. Wyobraźmy sobie, że jakiś kapłan zostałby ministrem. Automatycznie byłby zobowiązany do popierania partii rządzącej, albo gdyby został prezesem przeciwnej partii, musiałby z kolei poprzednią siłą polityczną zwalczać. Tak więc, chcąc nie chcąc, przyczyniałby się do powstawania niechęci, podziałów, nienawiści, jak widzimy, że się to dzisiaj dzieje w życiu politycznym na naszych oczach. Tymczasem

potrzeba, żebyśmy promowali dobro wokół nas. I tylko dobro powinno być przedmiotem naszego zaangażowania w rzeczywistość, w której żyjemy.

Wracając do wydarzenia Soboru Watykańskiego II, warto jeszcze zaznaczyć, że pewne elementy nauki soborowej utorowały sobie drogę do pełnej świadomości eklesjalnej nieco później: np. na synodzie o zaangażowaniu świeckich, którego owocem była adhortacja Jana Pawła II *Christifideles laici*, gdzie w punkcie trzydziestym czytamy, że nic nie może świeckiego chrześcijanina zniechęcić do pełnego zaangażowania się w życie publiczne i polityczne. Ani fałszywe oskarżenia o karierę, ani nadużycia, jakich jesteśmy świadkami w życiu politycznym. Chrześcijanin świecki ma wręcz obowiązek wejść w życie społeczne i polityczne. Nikt tak jak on nie uświęci rodziny. Ksiądz, biskup nie ma takich środków oddziaływania wobec problemów rodzinnych, wydaje się być także bezradny wobec nadużyć ze strony urzędników, wobec niewłaściwej etyki w konkretnym miejscu pracy, wobec braku etyki w senacie czy w sejmie. To jest właśnie miejsce dla działalności świeckich chrześcijan. Świeccy, którzy tam są, mają zadanie, którym jest realizowanie jedności wiary wyznawanej i przeżywanej. Wiary realizowanej w życiu.

Sobór, co też warto podkreślić, miał wśród swoich słuchaczy zaproszonych członków innych wyznań chrześcijańskich, innych Kościołów. Ostatnio, w czasie obchodów rocznicy rozpoczęcia obrad Soboru Watykańskiego II podczas wspomnianego synodu w Rzymie, odprawialiśmy wraz ze wszystkimi biskupami – Ojcami synodalnymi Mszę św., na której gościliśmy patriarchę Bartłomieja z Konstantynopola. Był wraz z nami na tej Mszy świętej, oczywiście nie koncelebrował, tylko siedział – bo precedencja też jest ważna w Kościele, tak wschodnim jak i w naszym. Patriarcha Bartłomiej siedział zatem wśród nas, na tym samym poziomie, co papież. Miał ten sam fotel, wszystko tak samo, tylko nie koncelebrował. Był to niewątpliwie wyraz głębokiego szacunku, jaki mu okazano na synodzie, choć jeszcze nie jedności, bo jedność nastanie dopiero wtedy, jeżeli będziemy mogli wspólnie koncelebrować Mszę św. oraz wspólnie wierzyć w taki sam sposób. Nasi bracia odłączyli się z nami, a my z nimi. Jest to droga z całą pewnością zmuszona, ale możliwa w Panu Bogu. Patriarcha Konstantynopola Bartłomiej, mocno podeszły już w latach hierarcha, przemawiając do Ojców synodalnych, wspomniał rzecz ciekawą. Podobnie jak ks. prof. Ratzinger, czyli papież Benedykt XVI, w czasie Soboru ekspert i doradca kardynała niemieckiego, tak i on Patriarcha Bartłomiej, przebywał wtedy w Rzymie jako diakon w Collegium Russicum i w Instytucie Orientalnym, prowadzonym przez jezuitów, jako stypendysta Kościoła rzymsko – katolickiego. Patriarcha miał odwagę wspomnieć z wdzięcznością ten czas. Po raz pierwszy stwierdził publicznie, jak dużo Kościół prawosławny zawdzięcza Soborowi Watykańskiemu II. Takie stwierdzenia nigdy oficjalnie nie padły do tej pory z ust

przedstawiciele Kościoła wschodniego. A teraz niespodziewane potwierdzenie tego faktu po tylu latach.

Na ostatnim synodzie w Rzymie przemawiał także prymas Kościoła anglikańskiego z Londynu – Williams. Mówił z naciskiem o randze modlitwy, medytacji, kontemplacji i o niezastąpionej roli ciszy w osobistym kontakcie z Bogiem, podkreślając zarazem jak dużo anglikanie skorzystali z wydarzenia i przesłania Soboru Watykańskiego II. Widzimy zatem jasno, jak wielki ma wpływ to, co dzieje się w jednym z Kościołów, na inne wspólnoty uczniów Chrystusa. Nawet dzisiaj, gdy jeszcze nie jesteśmy jednością.

Chyba powinienem już kończyć, ale pragnę jeszcze tylko powiedzieć, że problematyka zmagania się wiary ze światem, którą tak głęboko podjął ostatni Sobór, jest zagadnieniem, które towarzyszy Kościołowi od początku jego istnienia. To zagadnienie znalazło swoje poczesne miejsce tak na ostatnim synodzie poświęconym nowej ewangelizacji, jak i na Soborze watykańskim II. Wydaje się zresztą, że ta problematyka będzie nam towarzyszyć zawsze, ona będzie powracać na arenę dziejów w takiej, czy innej odsłonie. Odkrywamy dzisiaj nowe przestrzenie wzajemnej komunikacji i wymiany myśli, jest to wydarzenie na miarę niegdysiejszego odkrywania nowych kontynentów – mam na myśli przestrzeń Internetu. Obserwujemy także gwałtowny napór nowych form sekularyzacji, ataków na Kościół, wiarę, na księży. Oczywiście, pewnie niejednokrotnie sami dajemy po temu powody, ale przecież i bez wyraźnego powodu ciągle drażni ta obecność wymagań ze strony Kościoła, które on w imieniu Chrystusa, przez swą wierność Ewangelii stawia światu.

Trzeba powiedzieć, że mamy do czynienia dzisiaj w świecie – kto by temu zaprzeczał, dawałby tylko dowód że ma oczy zamknięte na rzeczywistość – z oczywistym naporem promocji antywartości. Pragnie się zburzyć chrześcijańską hierarchię wartości, atakuje się przykazania Boże. Także w naszej Ojczyźnie obserwujemy, jakiego rodzaju prawa są uchwalane, np. dotyczące eksterminacji niepełnosprawnych dzieci. Mówi się wiele, że trzeba ułatwić życie niepełnosprawnym, usuwać bariery odgradzające ich od reszty świata, np. trzeba likwidować schody, aby zrobić specjalny podjazd dla osób niepełnosprawnych, trzeba się nimi opiekować. Powstają nawet specjalne ruchy i wspólnoty, które mają na celu zajęcie się niepełnosprawnymi umysłowo. Ale jeśli w czasie rozwoju płodowego zdiagnozowano niepełnosprawność dziecka, wtedy lepiej je usunąć, zabić. Takie prawa są uchwalane i u nas. To jest znak, że coś niewłaściwego dzieje się w tym świecie. Chrześcijanie zatem muszą mieć otwarte oczy i sumienia.

Wobec całego naporu liberalnego sekularyzmu i relatywizmu, wobec naporu przedsięwzięć, mających na celu podważenie naturalnej struktury małżeństwa i rodziny oraz zaburzenie naturalnego Bożego porządku rzeczy,

zadajemy sobie pytanie, czy to jest właśnie ten zasadniczy powód, dla którego Kościół, dla którego my, chrześcijanie, mamy głosić światu Ewangelię? Czy rzeczywiście dlatego, że mamy do czynienia z sekularyzacją? Otóż nie! To wcale nie jest nasz główny motyw. Najgłębszym bowiem motywem jest to, że sam Pan Jezus powiedział: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, głoscie im Ewangelię, odpuszczajcie grzechy. Komu odpuscicie są mu odpuszczone, komu zatrzymacie będą mu zatrzymane” (por. Mt 28, 19; J 20, 22-23). To właśnie jest prawdziwą przyczyną, to jest tytułem do głoszenia Ewangelii. Chodzi o posłuszeństwo wiary, o fascynację nauką Ewangelii, o troskę, że ludzie stracą coś ogromnie istotnego, jeśli im nie będziemy głosić Ewangelii, jeśli nie przekazemy im wiary.

Bo to właśnie wiara otwiera przed człowiekiem nowe horyzonty, obdarza nowymi możliwościami poznawczymi, daje pełny, integralny obraz człowieka jako takiego, a zarazem obraz świata, w którym człowiek żyje. To wiara się wieczności, pomagając przekroczyć próg skończoności, otwiera szeroko furte zbawienia. W takiej perspektywie staje się jasnym, że ludzie, że każdy człowiek wiele straci, jeśli nie przyjmie Ewangelii, jeśli nie przyjmie wiary w Chrystusa i dlatego właśnie mimo innych ważkich powodów głoszenia prawdy zbawczej i dzieła nowej ewangelizacji, ten jest najistotniejszy. Ani obrona wiary przed zagrożeniami zewnętrznymi, czy wewnętrznymi, ani jakiegokolwiek inne obawy nie mogą być stawiane na równi z poleceniem Chrystusa, aby całemu światu nieść prawdę Ewangelii. Naszym zadaniem jest radosne, pełne oddania głoszenie Ewangelii, bośmy uwierzyli, bośmy ją przyjęli, bo po prostu takie jest pragnienie Chrystusa. I to jest właśnie także główne przesłanie ostatniego synodu dotyczącego nowej ewangelizacji, podobnie zresztą jak zasadnicze przesłanie Soboru Watykańskiego II.